



# MAŁY STER

ILUSTROWANE CZASOPISMO DLA NAJMŁODSZYCH  
KRAKÓW \* ROK SZKOLNY 1942/43 \* NR 3



# KTO TO?

Na podwórku  
już od rana  
dziwny gość zawitał.  
Nie rusza się,  
nic nie mówi,  
i nic się nie pyta.

Twarz okrągła,  
nos — z ziemniaka,  
oczy — dwa węgielki.

Szyi — nie ma,  
nóg — nie widać,  
a jak beczka wielki.

Koszyk stary  
jak kapelusz  
ma na czubku głowy.  
Któż to taki?  
Czy już wiecie?  
To bałwan śniegowy.

Zdz. Janik



— Nie można biegać po ogrodzie!  
Dzień taki ponury, deszcz pada. Co  
my będziemy robić? — martwią się  
dzieci.

— Może zabawimy się w jakąś  
„grę“? — mówi Zosia.

— Dobrze, doskonale, zabawimy  
się w krawczyka — wołają dzieci  
chórem.

Niedawno nauczyły się dzieci wierszyka o krawczyku i przyrządach, jakimi krawiec pracuje. Sprytny Piotruś wymyślił do tego wierszyka zabawę. Teraz to jest ich najulubiejsza gra.

Cała gromadka siada dookoła stołu. Chłopcy i dziewczynki. Piotruś rozpoczyna zabawę. Śpiewa:

Jestem sobie krawczyk  
mam uszyć ubranie,  
musicie mi pomóc  
panowie i panie...

Pierwsza zgłasza się Marysia:

— Ja jestem igielka  
stalowa prościutka,  
potrzebna mi tylko  
niteczka cieniutka.

Na to zrywa się Krysią i ciągnie  
dalej:

— Służę swą pomocą,  
ja Iniana niteczka,  
można mnie kupować  
w okrągłych moteczkach.

Obydwie dziewczynki stają z boku.  
Teraz występuje Wojtuś „maszyna“  
i dodaje:

— Gdy igła i nici  
będą już w maszynie,  
ona się z robotą  
prędyutko uwinie.

Wojtuś „maszyna“ usuwa się. Wychodzą Maciuś i Danusia. Śpiewają na przemian:

— Ja jestem żelazko —  
guziczek Danusia,  
wszystko na ubranie  
jest już dla Piotrusia...

Tymczasem Piotruś zmartwiony odpowiada:

— A gdzież jest materiał  
na moje ubranie?  
Powiedzcież mi proszę  
panowie i panie...



— Zosia jest pewnie materiałem — wołają dzieci.

— Ja jestem owieczka,  
mam wełnę mięciutką,  
lecz się nie pozwolę  
ostrzyc na króciutko.

Śpiewa Zosia i ucieka wokół stołu.  
Dzieci biegają za nią. Wreszcie Ste-  
fek „tkacz” łapie Zosię i śpiewa:

— Z puszystych owieczek  
ludzie wełnę mają,  
z której później tkacze  
sukno wyrabiają.

Każde dziecko stara się skubnąć  
Zosię. Zosia się broni. W końcu

otaczają ją kołem. Tańczą. Piotruś  
zadowolony podskakuje.

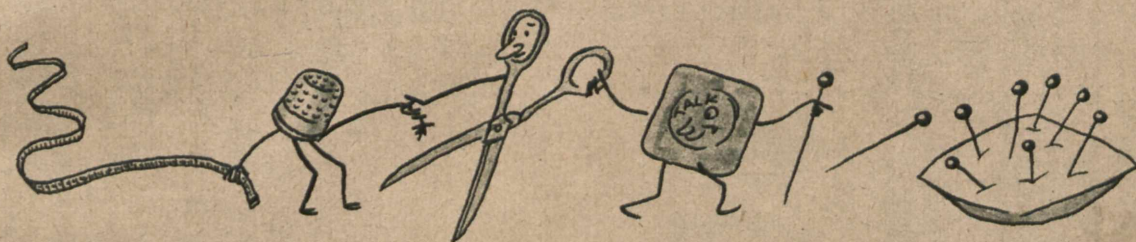
— A więc wszystko jest gotowe  
I ubranie będzie nowe...

Naraz z za szafy wypada Jaś. Był  
tam schowany. Dzieci stają. Jaś prze-  
rywa Piotrusiowi:

— Nie będzie ubrania,  
bo czegoś brakuje.  
A kto nie odgadnie,  
ten fant ofiaruje!

Dzieci siadają i myślą. Namyślają  
się, bez czego to krawczyk nie może  
się obejść? Czego mu brakuje?

Maria Zagórowska



## Ślisko! Posypimy ulicę!

Mietek się złości:

— Nawet na sankach jeździć nie  
można! Wszystkie chodniki posypane  
popiołem albo piaskiem. Ci starsi  
to zawsze muszą nam na złość robić!

Krzyś, brat Mietka, radzi:

— To możemy saneczkować na  
jezdni.

Ale duży Franek woła:

— Na jezdni? Żeby cię jaki wóz  
najechał! Nie można!

— No, to gdzie pójdziemy?

Franek powiada:

— Wiecie, pani Rybicka mówiła  
do mojej babci, że koło kościoła jest  
ślisko. O mało rano nie upadła.

Mietek już chwytą sanki:

— To dalej, chodźmy tam!

Pędzą wszyscy trzej. Ale na tym  
chodniku koło kościoła jest już trochę  
popiołu. Sanki nie zjeżdżają, jak na-  
leży.

Więc Franek radzi, żeby zgarnąć  
śnieg z boków. Ten śnieg, co od-  
mieciony leży wzdłuż ulicy.

Pracowali całą godzinę. Ale potem  
co za sanna! Saneczkowali aż do  
zmroku.

Na drugi dzień babcia Franka mówi:  
— Biedactwo ta pani Rybicka.  
Wracała dzisiaj rano z kościoła. Po-  
dobno przed kościołem było bardzo  
wyslizgane. Upadła staruszka i po-  
tłukła się.

Franek szczywieniał jak burak.  
I wybiegł. Z kuchni porwał garnek  
z popiołem.

Po paru minutach przed kościołem  
nie było już ślisko.

Chłopcy otrzepują ręce z popiołu.  
Krzyś pyta:

— No, to gdzie będziemy sanecz-  
kować?

Mietek radzi:

— Tam koło starej studni jest  
górką. To dość daleko, ale cóż...  
Tamtędy nikt nie chodzi. Możemy  
ją sobie wyjeździć.

I popędzili z sankami na górkę.

M. K.



# Bal choinkowych ludków

Była już ciemna noc. Jacuś i Zosia posnęli już dawno w swych łóżeczkach. Przez okno wpadł do pokoju srebrny promień księżycowy i oświetlił choinkę.

Nagle na choince zadzwoniły dzwoneczki. Obudził się świat choinkowego ludku. Zerwały się z gałązek orzeszki. Pozbiegały szyszki. Jarzębinki potoczyły się z nitek. Powoli gramoliły się z gałązki na gałązkę kasztanki-mospanki. Zgrabnie zeskałkiwały żółodziowe ludki.



A Jacuś śpi i Zosia śpi.

Pod choinką panienki-jarzębinki utworzyły długi, długi szpaler. A szpalerem kroczy długi, długi orszak.

Idą na czele poważne krasnoludki z szyszek sosnowych i świerkowych. Idzie orzeszkowy, idzie żółodziowy ludek. W wspaniałej karocy jedzie ich król, ogromna żóładź. Płaszcz królewski podtrzymują, paziowie orzeszki laskowe. A za nimi suną zaproszeni goście: kasztanki-mospanki. Idzie ich cały tłum.

Toczy się gruby pan doktor, a podtrzymuje go długi, cieńki elegancik. Kroczy za nimi gruby pan mecenas z jeszcze grubszym panem bankierem. Idą, idą i cichutko śpiewają:

Hej! idziemy w las,  
bo las woła nas.

Prowadzimy gości z miasta,  
naszykujcie dużo ciasta.

Hej! idziemy w las,  
bo las woła nas!

Tylko kasztanki-mospanki nie śpiewają. Pan mecenas bardzo sapie. Pan bankier postępuje. A elegancik do doktora szepce:

— Po co my tam idziemy? Jeszcze w drodze pomarzniemy! My kasztany z miasta rodem, po co nam się bratać z borem? Już ja wolę nasze ulice, niż te dzikie okolice.

A pan doktor sapie zachwycony:

— A ja ci powiem, jakem doktorem, tak tęsknię za borem! Więc rozmowie naszej basta! Wyruszajmy prędko z miasta!

Zaledwie doktor-kasztanek wypowiedział te słowa, a na szybach okna zalśnił, zasrebrzył się wspaniały, gę-



sty bór. Rosły tu wyniosłe sosny, gałęziste świerki, dęby, jarzębiny i leszczyny. Srebrzyły się, mieniły brylantowym blaskiem liście i gałęzie i szumiały:

Dzieci nasze idą, jadą,  
z jakim śpiewem i paradą!  
Kogo to nam one wiodą?

A krasnoludki zaśpiewały:

Gości z miasta prowadzimy  
do naszej leśnej dziedziny.

— Witajcie! Witajcie! — szemrały drzewa, szemrał las cały. — Prosimy was na bal. Sala balowa dawno już gotowa.

Rozbiegł się orszak cały. Panowie proszą panie. Paziowie suną do ja-

rzębinek, żołędziowe ludki do kasztanków-mospanków. Elegancik najpiękniejszą jarzębinę w tany prosi. Już zaczęli wirować, kołować, aż doktor zaczął wołać:

— Patrzcie, patrzcie, jakie elegant wywija obertasy! Gotów pogubić obcasy!

A elegancik wyspiewuje:

Oj dana, oj dana,  
jarzębinko kochana!  
Ślicznie tu, pięknie tu,  
aż mi w piersiach braknie tchu!

A Jacuś śpi i Zosia śpi. I nic nie wiedzą, jaki piękny bal urządżyły sobie choinkowe ludki.

*Maria Grujanka*

## KOŻUSZEK

Było dość ciepło, gdy Waluś szedł rano do szkoły. Ale po południu jakże się zimno zrobiło! Wiał mroźny wiatr, śnieg niby lodowate szpileczki zacinał po twarzy.

Prędej do domu, do kącika pod piecem!

Nie, Waluś wstąpi do kuźni, do tatusia, tam się ogrzeje.

W kuźni gorąco, a tatuś pracuje, nawet się na Walusia nie obejrzał.

Ogromnym młotem kuje rozpalone do czerwoności żelazo. Buch! buch! buch! Młot spada na żelazo, a snopy iskier się sypią. Żar bucha z ogniska, i twarz tatusia czerwona jest jak ogień. Od czasu do czasu ociera tatuś czoło, po którym pot spływa kroplami.

Waluś patrzy i myśli: — Tatuś taki zgrzany, a na dworze tak zimno...

Spojrzał na wieszadło w kącie: wisi tam tylko lekka kapota.

— Mój Boże! jeszcze się tatuś przeziębi, gdy będzie wracał do mieszkania. — Co tchu pobiegł Waluś do domu i przyniósł tatusiowi ciepły kożuszek...

*H. Grotowska...*  
„Czytanka“

## GRUDZIEŃ

Ach, ten grudzień poczciwy,  
To czarodziej prawdziwy:

Gwiazdeczkami przystroił okienka.

Ach, ten grudzień, staruszek,  
Śnieżny sypie nam puszek,

Już na świerku bieluchna sukienka.

Idzie grudzień lasami.

Pobrzękuje dzwonekami,

W polu białą rozkłada pierzynkę.

Idzie grudzień kochany,

Lepi śnieżki, bałwany,

A za pasem ma śliczną choinkę.

*A. Kwiecińska*

(J. Rydlowa... „W Lipkach“)

# NOCNY DYŻUR

Pan doktor dał mamie receptę:

— Trzeba to zaraz zanieść do apteki — powiedział — a potem pani dawać będzie synkowi po dieśięć kropel co cztery godziny. Jutro tu zagładnę.

I poszedł.

Mama była w kłopotcie. Tatuś wyjechał, a ona nie chciała zostawić chorego Stasia przy Janku. Janek jest rozsądny i dobry... ale mama zawsze woli być przy Stasiu sama.

A posłać Janka do apteki?... Teraz już późno... Dziesiąta godzina... Janek może się bać...

Mama nie wie, co robić...

Ale Janek domyślił się, o co chodzi, choć mama jeszcze nic nie mówiła.

— Mamo! Ja idę po lekarstwo dla Stasia — powiedział stanowczo. — Proszę mi dać pieniądze.

— A nie będziesz się bał, synku? Janek wydał wargi.

— Pewno, że nie!

Szedł przez puste ulice dosyć pewnie. Apteka była bardzo blisko. Ale gdy do niej doszedł, zrobiło mu się nieprzyjemnie.

Na drzwiach od apteki była żelazna żaluzja.

— I co teraz będzie?...

Aha. Jest tu jakaś karteczka.

Janek stanął na palcach i czyta:

— „Dyżur nocny: „Apteka pod Słońcem, ul. Kolejowa 2“ i „Apteka Gruszki, ul. Szeroka 5“.

No to trzeba iść. Ale do której? Janek nie wie, gdzie jest ul. Szeroka i Kolejowa. Kolejowa, to pewno będzie przy kolei. No, tak.

Janek idzie prędko. Bardzo prędko,

bo jest mu jakoś nieswojo. Ludzi prawie nie ma, ulice obce. Może się wrócić? E, nie można. Staś musi zaraz zażyć lekarstwo. I zresztą Janek powiedział mamie, że się nie boi.

Kolejowa ulica jest naprawdę przy kolei. Janek nawet szukać jej nie musi. O, i tu na rogu apteka.

Janek dzwoni, bo zamknięta. Otwiera mu miła panienka w białym kitlu.

Janek podaje receptę.

— Siadaj chłopczyku — mówi panienka. — Zaraz zrobię krople.

Janek siada.

A panienka zdejmuje z półki dwie jednakowe flaszki. Tych flaszek jest pełno wszędzie. Każda ma przyklepioną karteczkę z napisem. Janek próbuje odczytać napisy, ale nic z tego nie rozumie.

— Po jakiemu to napisane? — pyta nieśmiało.

— Po łacinie — odpowiada panienka.

— A dlaczego?

— Żeby te lekarstwa na całym świecie się jednako nazywały. Żeby nie było pomyłek.

Z drugiej strony na półkach stoją słoje. Też wszystkie jednakowe i też z napisami łacińskimi.

Janek patrzy, co panienka robi. A ona odważa na malutkiej wadze te lekarstwa. Potem zlewa je razem, miesza, dosypuje jakiegoś proszku i wciąż miesza i patrzy na receptę.

Jankowi chce się spać. Na zegarze jest już wpół do jedenastej. Janek ziewa.



— Śpiący jesteś? — uśmiecha się panienka.

— Aha. A pani nie?

— No trudno. Czasem chce mi się spać. Ale muszę czuwać do rana. Ludzie nie mogą czekać na pilne lekarstwo. Tu chodzi często o życie. Muszę być wciąż w pogotowiu.

Panienka zlewa nareszcie lekarstwo

do żółtej flaszeczki. Zapisuje coś w wielkiej książce... Oddaje flaszeczkę Jankowi. Janek płaci i wybiega.

Idzie prędko przez ciemne ulice. Nie boi się. Myśli o paniencie z apteki, która czuwa całą noc i jest w pogotowiu, aby pomagać innym.

M. K.



## List do mamy

Haneczka usiadła przy stole. Wyciągnęła z szuflady kopertę, a z koperty papier. Rozłożyła go pięknie na stole. Umoczyła pióro w kałamarzu i napisała u góry w prawym rogu papieru datę. A tu, jak na złość, przyczepił się włos do pióra. I zamiast ostatniej kropki zrobił się wielki atramentowy zygzak.

Nie można przecież wysłać listu z taką plamą! Zmartwiła się Haneczka.

— Chodź na pomoc, gumko — myszko biała i njebieska!

Haneczka potarła kleks białą stroną gumki. Nie pomogło. Potarła niebieską połową, a plama przestraszyła się, zbladła i uciekła z papieru.

Haneczka umoczyła znów pióro i poprawiła datę. A potem wysunęła koniec jęczyczka, bo to bardzo pomaga przy pisaniu. I zaczęła pisać. Pisała, pisała, aż napisała taki list:

Wypoczynków, 22. XII. 1942.

Kochana Mamusi!

Dziękuję Ci bardzo za Twój list. Cieszę się, że u Was tak wesoło.

I u nas wesoło. Chodzimy na ślizgawkę i na saneczki. Wczoraj zrobiliśmy na podwórzu bałwana. Zrobiliśmy dużo ozdób choinkowych. Dziadzio przywiózł z lasu dużo świerkowych gałęzi i zrobi nam choinkę. Powtyka te gałązki do wysokiego drążka i będzie śliczne drzewko. I nie trzeba będzie ścinać całego drzewka, niech sobie rośnie, prawda? Babcia upiekła już pierniki z kolorowym maczkiem na choinkę. Dzisiaj przywiązałyśmy z Wandzią do nich nitki.

Kiedy wreszcie przyjedziesz, Mamuś? Wszyscy czekamy na Ciebie i na Tatusia. Wandzia prosi, żebyś jej przywiozła na gwiazdkę lalkę. A ja proszę, żebyś mi przywiozła tylko siebie. Bardzo mi tęskno i do Ciebie i do Tatusia. Przyjedźcie koniecznie na Wigilię!

Teraz całuję Ciebie, Mamuś, mocno i Tatusia też. Kazik i Wandzia dołączają całusy.

Twoja kochająca córeczka,  
Haneczka.



Haneczka złożyła list i wsunęła go do koperty. Na kopercie napisała adres, a na odwrotnej stronie koperty małutkimi literkami u samej góry nazwisko i adres nadawcy. Potem zakleiła list, włożyła płaszczyk i kapturek. Pobiegła na pocztę. Tam kupiła znaczek i nakleiła go w prawym górnym rogu koperty. Teraz list mógł już iść w świat. Haneczka wrzuciła go do skrzynki pocztowej

i wróciła do domu. Ledwie otworzyła drzwi, chwyciła ją w ramiona mama!

— Mamuś, mamuśko! — zawołała z radością Haneczka. — Już przyjechaliście? A ja właśnie napiłam list do was...

— To nic nie szkodzi — powiedziała mama — list przyjdzie tu za nami z Lublina. A teraz chodź się przywitać z tatusiem.

*Jadwiga Morska*

## PRZED GWIAZDKĄ

Bardzo tęskniliśmy do gwiazdki, a pogoda była wilgotna i ciepła. Wszystkie odgłosy dawały się słyszeć miękko i donośnie. Koguty piły i biły skrzydłami. Wiosna wychylała się ze swego ukrycia nieśmiało i żalostnie, a Gwiazdka oddalała się zasmucona. A potem przychodził mróz i słycać było, że ona znów nadchodzi, tupiąc i dudniąc po zamarzłej ziemi. Padał śnieg i miękką ścielił jej drogę.

Rano widać było wśród blednych mroków, jak drogą za stawem długim rzędem idą ludzie na roraty. Latarnie i kaganki, które nieśli, rzucały długie, czerwone smugi przez staw, aż prawie do okien dworu. Wielkie cienie kroczyły również do kościoła.

Wieczorem, zanim okiennice zamknięto, dzieci przybliżały się niezupełnie pewnym krokiem do okien i patrzyły, jak tam, za oknami, lśni noc prześliczna, obojętna, wyraźna; jak na bładozłotym śniegu leżą granatowe cienie drzew i gałęzi i jak wysoko, między białymi konarami, wiszą drżące gwiazdy, a na największej wysokości, niedosiężny płynie złotosrebrzysty księżyc.

Nareszcie zamykano okiennice. Wtedy dzieci zasiadały przy wielkim stole i zaczynały się roboty na choi-

kę. Klajstrem z żytniej mąki klei się pasek do paska. Żółty z fiołkowym, czerwony z granatowym, zielony z szafirowym, srebrny ze złotym. Długie, szeleszczące łańcuchy zarzucaliśmy sobie na szyję i siedzieliśmy dumni przy stole, niby wodzowie dzikich plemion.

Oplátky zjawiały się w pierwszej połowie grudnia. Przynosił je organista, którego poznawali wszyscy, ledwo się tylko ukazał w kasztanowej alei ze swym ogromnym koszem i ze swym kijem sękatym.

— Idą oplátky, dzieci.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — mówił organista wchodząc prosto do jadalnego pokoju. Wiało od niego śniegiem i mrozem, a od jego słów pachniało kolędą, choinką i wigilią. Na stole rozkładał oplátky. Najpierw była gruba paczka dla rodziców, a złoty pasek papieru wyciskanego w gwiazdki przewiązywał ją na krzyż. Na skrzyżowaniu jaśniała wielka gwiazda złocista, siedmioramienna. Środek był z żelatyny, pod którą widniała betlejemka stajenka ustawiona z papierowych figurek. A po wszystkich rogach miała ta paczka złote gwiazdki i aniołki podparte jedną rączką na obłoku. Potem wydobywał pięć paczek dla





dzieci. Były to małe opłatki na specjalnej formie robione. Wierzchni opłatek ozdobiony był także gwiazdkami i aniołkami. Ale nie tak już paradnie. Wreszcie była paczka dla służby.

Ale obowiązkowo musiały być we wszystkich paczkach opłatki kolorowe: żółte, niebieskie i czerwone, — na świąty i na gwiazdki.

Opłatków było tyle, żeśmy je potem długo jedli jak łakocie przypalając nad lampą. Dzieci przepadały za przypalonymi opłatkami.

Ale też niemniej zabierał organista do swego kosza jajek, słoniny, sera, kielbasy, chleba. Uginał się pod ciężarem, gdy odchodził z powrotem.

Maria Dąbrowska  
 („Uśmiech dzieciństwa“)

## ANTKOWY FIGIEL

Nunia wracała ze ślizgawki. Antek szedł razem z nią. Zawsze na nią czekał. Właściwie nie na nią, ale na te łyżwy, których mu pożyczała. Potem wracali kawałek w jedną stronę.

Na schodkach jednej starej kamienicy siedziała siwa babka. Obok niej leżał stos gazet. Czasem ktoś zatrzymywał się i kupował. Częściej nie. Bo babka cichutko siedziała wtulona w bramę, tak że prawie nikt jej nie widział. Zacisznie tam było i cie-

pło, więc babina drzemała sobie, albo odmawiała koronkę.

Tego dnia, gdy Nunia i Antek ją mijali, zatrzymał się przed nią jakiś pan. Chciał kupić gazetę. Babka spała w najlepsze, oparta na dłoni. Sapała głośno i coś mruczała przez sen. Pan odszedł. Naturalnie gazety nie kupił. Antek powiedział.

— Ta stara Gwizdońka nigdy nic nie sprzeda. Zawsze śpi.

Nunia zapytała:

— To ty ją znasz?



— Jeszcze jak. Ona mieszka w tej samej kamienicy, co my — odrzekł — to ją muszę znać. Nieraz mnie już zwymyślała.

— A za co?

— Za byle co. Człowiek nawet nie zawsze wie, za co.

— Aha. A dlaczego ona tak śpi?

— A bo po nocach cosik szyje i naprawia. Dla zarobku. We dnie gazety sprzedaje. Chociaż, co ona kiedy sprzedaje.

Nunia uzalała się nad losem Gwizdońki:

— Biedna. A jakby jej ktoś zabrał te gazety? Przecież śpi, to nie widzi. Ach, co by to było!

W oczach Antka zamigotało coś i zaświeciło. Tak jakby jakiś wesóły błyszczący chochlik fiknął koziołka. Antek zaśmiał się i powiedział tajemniczo:

— Ja jej zabiorę te gazety. Zrobię jej fajny kawał. Zaczekaj.

— Antek, daj spokój. — mówiła Nunia oburzona. — Jak możesz? Nie rób tego!

Ale Antek nie słuchał. Już był przy Gwizdońce i cichutko, bez szelestu, zabrał stos gazet z murka. Wziął je pod pachę. Potem zbliżył się do Nuni i mówi ze śmiechem:

— Stój tutaj i patrz, czy się nie zbudzi. Ja idę sprzedawać.

— Antek, Antek, co ty chcesz zrobić?

Ale Antek już był daleko. Słysząc było, jak zaczął wykrzykiwać na rogu ulicy:

— Najnowsze wydanie Gazety Wieczornej!! Bardzo ciekawe wiadomości!!! Gazeta Wieczorna!

A Gwizdońka spała. Mocny miała sen. Sapanie, gwizdanie jakieś wydostawało się przez jej nos. Nie słyszała przeraźliwych krzyków Antka, nie widziała jak jakiś pan kupował, potem jakaś pani...

I znowu rozległo się na całą ulicę:

— Najnowsze wydanie Gazety Wieczornej!! Zamach bombowy na cesarza chińskiego! Gazeta Wieczorna!

Wobec takiej zachęty ludzie kupowali. Ale i tak Antek na to nie czekał, aż ktoś do niego przystąpi. Sam zaczął przechodniów. Podbiegał, podtykał gazetę pod sam nos rozmaitym poważnym panom, a nawet gdy nie kupowali, nie odstępował, lecz tyłem biegł przed nimi drobnymi kroczkami, wywijając gazetą i krzycząc w niebogłosy:

— Gazeta Wieczorna! Bardzo ciekawe wiadomości!!!

Nareszcie ucichło. Sprzedał wszystkie. Stał przy Nuni. Obie ręce trzymał w kieszeniach. Powiedział zadowolony:

— Jużem skończył. Teraz zaczniesz się „heca“. Trzeba włożyć pieniądze do kasy i zbudzić Gwizdońkę.

Oczy mu się śmiały, czupryna sterczała zawiadaczko, a zadarty nos podjechał w górę jeszcze wyżej.

Nuni zaczynał się podobać Antkowi „kawał“. To było bardzo ciekawe.

Cicho podeszli do Gwizdońki. Nunia przytrzymała kieszeń jej spódnicy, a Antek sypnął tam ostrożnie całą garść pieniędzy.

Potem machnął na Nunię, żeby sobie poszła. Więc stanęła kilka kroków dalej. Wtedy położył rękę na ramieniu babki i potrząsnął:

— Pani Gwizdoniowa! Pani Gwizdoniowa!

Poruszyła się. Otworzyła stare, wyblakłe oczy. Antek zrobił niewinną i wystraszoną minę:

— Pani Gwizdoniowa! A gdzie gazety? Sprzedaliście? A może kto capnął?

Oprzytomniała. Zerwała się ze schodka:



— O Jezusieńku! — jęknęła — a gdzie gazety? Nie ma? O święty Antoni! Gdzież one?

Kręciła się w kółko przestraszona, bezradna. Antek miał minę tak pocziwą, jak aniołek.

Powiedział współczująco:

— A w kieszeni miała pani Gwizdoniowa pieniądze? Może też ten złodziej zabrał?

Gwizdońka z przestachem złapała się za spódnicę. Z niedowierzaniem wsunęła rękę w przepaść kieszeni. Wyciągnęła stamtąd całą garść groszaków. Twarz miała tak zdumioną, że Antek już nie mógł wytrzymać i roześmiał się. Śmiał się tak głośno i serdecznie, że aż oglądali się przechodnie. Nunia też się śmiała. Z Gwizdońki i z Antka i z całego kawału. Udał się.

A Gwizdońka przecierała oczy i powtarzała raz po raz:

— Święty Antoni! A to przemienienie!

I liczyła pieniądze.

Antek uspokoił się trochę i choć jeszcze chichotał, powiedział do Gwizdońki.

— Pewno pani Gwizdoniowa posprzedawała wszystkie gazety na czyso, pieniądze schowała do kieszeni, a potem zmówiła koronkę i pospała się. Na pewno.

Gwizdońka zamyśliła się:

— A no, tak chyba musiało być. Przecież cudów nie ma teraz na tym grzesznym świecie. Pewno, pewno. Sprzedałam, a potem pospałam się. Aha. Tak było, tak.

*Maria Kędziorzyna*

#### NA TROPACH PRZYRODY.

## ŻYWOPŁOT W ŚNIEGU



Od paru dni pogoda była okropna. Nic dziwnego, bo przecież to styczeń, a zima tego roku wcale nie była lekka. Ciągła zawierucha śnieżna nie pozwalała ludziom nosa za drzwi wychylić. Nasypało śniegu po kolana. Dzieci siedziały w izbach, nudziły się, bo szkoła była daleko i pan nauczyciel zapowiedział, że nauka rozpocznie się na nowo dopiero wtedy, gdy się pogoda poprawi. Do Staszka

Maciąga zachodziło co dzień po kilkoro dzieci z najbliższych chałup. Jego rodzice mieli duży dom z dwiema wielkimi izbami. Było więc dość miejsca na zabawę. Staszek miał też różne ładne książki z obrazkami zwierząt i roślin, które dzieci lubiły oglądać. Ale i to już zaczęło być nudne. Na szczęście pewnej nocy śnieg przestał padać i rano wyjrzało spomiędzy chmur słońce, chociaż mroźny wiatr



jeszcze wiać nie przestał. Ale było bardzo ładnie, wszędzie białe, jakby kto cukrem posypał ziemię, drzewa i budynki.

Jak co dzień, tak i tego dnia zebrała się u Staszka gromadka dzieci. Zaczęły oglądać książki z obrazkami. W pewnej chwili mała Hanka Jamrozówna zapytała wszystko wiedzącego Staszka, co też teraz w taką srogą zimę porabiają biedne ptaki?

„No, to chodźmy zobaczyć“ — powiedział Staszek.

„Chodźmy, chodźmy!“ — zawołały dzieci i czym prędzej wybiegły na podwórze. Wiatr dmuchał jeszcze silnie, a i mróz był jeszcze tęgi. Dzieci stały chwilę niezdecydowane, w którą stronę pójść, bo w sadzie śniegu było po kolana a do lasu ze dwa kilometry i droga jeszcze nie przetarta.

Staszek zdecydował szybko:

„Wiecie co? Chodźmy za wieś, tam gdzie koło drogi rośnie taki ładny żywopłot. Zobaczymy, co się tam teraz dzieje. W lecie widziałem w krzakach dużo ptaków, a w jesieni nawet coś ze sześć kuropatw“.

„No, to chodźmy“ — zawołała gromadka i dzieci żwawo pobiegły najpierw wydeptaną pomiędzy opłotkami ścieżką, a później już brnęły po kolana w śniegu. Mróz wyszczypał im twarze, ten i ów złapał na nos czerwonego „gila“, ale pochód był wesoły. Żywopłot był prawie cały zawałony śniegiem. Któreś z dzieci odezwało się:

„E, pewnie nie zobaczymy żadnego ptaka. Przecież na takim mrozie wszystkie musiały już zmarznąć“.

Od strony wiatru śnieg zasypał cały żywopłot tak wysoko, że można było wyjść na wierzch jak na dach. Ale zato po przeciwnej stronie było zacisznie, a pomiędzy krzakami powstały jakby małe izdebki nakryte dachem ze śniegu. Dzieci powchodziły do nich i udawały Eskimosów mieszkających w krajach podbiegunowych. Nagle jeden z chłopców

wypłoszył zająca z kryjówki, inny zaś wypatrzył kilka ptaszków przeskakujących z gałązki na gałązkę pod śnieżnym okapem, a Antek Bystron ujrzał z daleka nawet kuropatwę. Dzieci zauważyły, że w tych niby izdebkach było wcale ciepło, mimo że wiatr dął dość silnie, a pod krzakami było bardzo mało śniegu. Postanowiły więc nie wypłaszać ptaków z tak dobrego schroniska i udały się do domu zadowolone, że zobaczyły coś nowego dla siebie.

Staszek, starszy od innych, zwrócił im uwagę, że droga wzdłuż żywopłotu po przeciwnej od wiatru stronie nie była zawiana śniegiem. Widocznie zatrzymał go żywopłot. Nasza gromadka żałowała nawet, że cała droga do domu nie jest obsadzona żywopłotem, bo nie trzeba by brnąć w wysokim śniegu i wiatr by nie dokuczał.

Znalazłszy się w domu rozmawiały jeszcze długo o tym, co widziały. Przekonały się, że takie krzaki są zwierzętom bardzo potrzebne, szczególnie w zimie, gdyż tam znajdują ochronę przed wiatrem i mrozem, a z pewnością także coś do zjedzenia. Nawet i dzieciom samym było przyjemniej spędzić chwilę czasu pod osłoną żywopłotu aniżeli w otwartym polu. Postanowiły więc uprosić ojców, aby sadzili żywopłoty i kępy krzaków wszędzie, gdzie tylko się da, czy przy drogach, czy na nieużytkach w polu, a także dookoła sadu i warzywnego ogrodu.

Od dnia tej małej wycieczki dzieci zносиły ptakom trochę żywności, czy to okruchy chleba, czy też resztki ziemniaków, a które miało zamożniejszych rodziców, to i garść siana albo owsa wyprosiło dla zwierząt korzystających z zacisza pod żywopłotem. Wielką też miały przyjemność, gdy po paru dniach zauważyły, że ptaki przestały się ich obawiać a nawet co śmielsze to przychodziły prawie do samych rąk opiekunów.

H. F.



# ODWIEDZINY

## I.

Ściemniało się już dobrze, gdy ktoś zapukał do chaty.

Kudła porwał się z ziemi, pociągnął nosem, ale nie szczeknął. Antoniowa skoczyła do drzwi, myślała, że to Tomek wraca.

Otworzyła, patrzy... A tu zamiast Tomka stoi w drzwiach starowina jakiś, ośnieżony, oszroniony, zamarzły jak bałwan ze śniegu. Twarzy mu prawie widać nie było, tylko broda najeżona sopłami lodu sterczała z nad kożucha, i oczy mu połyskiwały spod baranej czapy, nasuniętej na same brwi. A patrzyły te oczy dobrze jakoś i serdecznie, ciepło i jasno. Błyszczał w nich ogienek dziwny jak płomień świeczek na choince.

Antoniowa domyśliła się, że to jakiś podróżny zbłąkany, przemarznięty i głodny.

— Wejdźcie, ojcze, pod dach — zapraszała.

— Nie bardzo się ogrzejecie, bo zimno tu prawie tak jak na dworze. Ale zato wiatr mniejszy, tyle go tylko, co przez komin wpadnie. Proszę, proszę, wejdźcie do izby!

Staruszek wszedł, powiedział „pochwalony”, drzwi zamknął za sobą, rozejrzał się dokoła i usiadł na ławie, którą podsunęła mu kowalowa.

— Dziękuję wam, dobra kobieto, żeście mi dachu nad głową użyczyli — odezwał się.

— Tyle to tylko, co dać mogę — powiedziała smutnie kowalowa Antoniowa.

— A dREW na ogień nie macie?

— Nie mam ani patyczka, ani drzazgi nawet.

— To źle, bom przemarzł potężnie. Ale nie o mnie mi idzie. Nie sam jestem.

— A któż to jest jeszcze z wami? — spytała kowalowa.

— Kobieta młoda i dziecko kilkodniowe — odpowiedział.

— O Jezu! A dajcie tego robaczka malutkiego do chałupy! Zginie na takim mrozie! Kilka dni ma dzieciątko, powiadacie i zmarzło? Poczekajcie ludzie, a toć ja mam skrzynię. Co mi po niej, kiedy pusta. Połupię ją na drwa i będzie ogień. Idźcie, ojcze, po swoich.

Antoniowa wysunęła spod łóżka starą skrzynię, zaczęła szarpać deski, odrywać. Łupała je na kolanie i układała na palenisku w kominie.

Staruszek poglądał na jej robotę, ale się z ławy nie ruszał.

Gdy Antoniowa już całą skrzynię połupała, obejrzała się na ławę. Widzi, stary siedzi, patrzy na nią i nie idzie po kobietę i dziecko.

— Ojcze! — zawołała — idźcie wy po tych biedaków! Pomarzną na nic, chudziury.

— A macie wy w domu chleb?

— Mam. O Matko Przenajświętsza! Mam, ale w sam raz tyle, żeby się i wróbel do syta nie nadziobał. Tyciuchną tylko kromeczkę.





Ale to nic. Zwarzywszy wody rozgotujemy tę odrobinę chleba, to się rozgrzejecie. Bo posilić się u głodnych trudno — dodała uśmiechając się Antoniowa.

Staruszek podniósł się z ławy i wyszedł z izby.

## II.

Po chwili z dworu słychać było cichy odgłos dzwonka takiego, jaki jagniętom wieszają na szyi. Drzwi się otworzyły i weszli staruszek i kobieta otulona w chusty.

Antoniowa podskoczyła ku przybyłej, pociągnęła ją do ognia, który się już palił na kominie, i pomogła jej usiąść. Ze zgrabiących z zimna rąk kobiety wzięła spowinięte w kożuszek dzieciątko, odchyliła chustkę, która przykrywała twarzyczkę, i szepnęła do matki.

— Śpi! A cóż to za śliczności! Jeszczem takiego ślicznego dziecka nie widziała. A jakie rna włoski złociutkie, jak to żyto dojrzałe w słońcu! A na buzi różowe jak jabłuszko!

Kudła ciepłem ognia przynęcony wstał z ziemi, przeciągnął się raz i drugi, zamiótł parę razy ogonem, wspiął się na ławę tuż obok przybyłej i zajrzał w twarz dzieciątka.

— Pójdziesz precz, Kudła — zawołała kowalowa odręczając psa.

Kudła ułożył się u nóg młodej kobiety, przywarował i patrzył jej w oczy. Później usiadł, położył głowę na jej kolanach i zaskomlał cicho, radośnie, jak skomla psy chore, gdy je gładzić po głowie.

— A cóż to za mitręga wędrować z takim maleństwem! Zimno, zawieja, śniegu tyle! Ziąb do kości przebiera. Że też was nie zawiąło gdzie po drodze, moi ludzie! — gadała Antoniowa krzątając się koło ogniska.

— Potrzeba nas do tej tułaczki zmusiła — rzekł cicho stary.

— Nikt bez potrzeby na takie zimno nie wychodzi! Psa, i to trudno wypędzić. Nie byle jaka to musiała być sprawa, która was z domu wyгнаła.

— Żli ludzie dzieciątko chcieli zgładzić, musieliśmy uciekać.

Antoniowa wytrzeszczyła na staruszkę zdumione oczy.

— Takiego robaczka, takie chucherko? Zabić? A cóż to za ludzie są na tym świecie! — zawołała.

— Są dobrzy, są i źli, jak to na świecie bywa. Dobrych Bóg miłościwy nagrodzi, a złych sama ich złość ukarze — powiedział staruszek.

Antoniowa rozpowinęła dziecko, które się rozkosznie przeciągnęło w cieple. Otworzyło

oczka modre jak chabry i uśmiechnęło się do kowalowej.

— Śmieje się! Już by rade figlować!

Woda zagotowała się w garnku. Antoniowa wkruszyła do niej chleb. Kudła tymczasem przysunął się do dzieciątka, trącił zwisającą rączkę nosem i zaczął ją lizać po paluszkach.

Kowalowa wylała polewkę z chleba do miski, włożyła do niej dwie łyżki i postawiła na ławie.

— Spożywajcie z Bogiem — zapraszała.

— A wy, dobra kobieto? — zapytała matka dzieciątka.

— Ja? A czym to ja taka zdrożona jak wy? Czy to ja mam dziecko u piersi? Ja się obejdę, byle wam było na zdrowie — rzekła Antoniowa usuwając się pod ścianę.

Staruszek i młoda kobieta jedli wolno, pociągając z łyżek ostrożnie, bo polewka była gorąca.

— Samiście tu, kobieto, w chałupie? — spytała młoda. Dopiero Antoniowa na to pytanie zaczęła opowiadać o Tomku, o swojej biedzie. O tym, że Tomek dziś właśnie w świat poszedł i nie wiadomo, kiedy wróci i czy wróci do niej. Opowiadając, ani się spostrzegła, że łzy spływają jej po policzkach, jedna za drugą, i padają na nagie nóżki dzieciны.

Gdy zamilkła i spojrzała koło siebie, zobaczyła, że młoda kobieta dziwnie żałośnie pogląda na swoje maleństwo. Spojrzała i kowalowa w twarz dzieciątka i zdumiała. Patrzyło ono wprost w jej oczy tak przenikliwie, jak nigdy niemowlę nie spogląda.

## III.

Maleństwo poruszyło się. Matka przygarnęła je do piersi. Staruszek otarł usta i powiada:

— Moja kobieto, uczyniliście dla dzieciątka, jego matki i dla mnie tyle, że więcej człowiek dla człowieka uczynić nie może. Co chcecie za to?

— A któż to ja jestem? — zaperzyła się kowalowa. — Za ratunek bliźniego w potrzebie miałabym co brać. Dobrym słowem mi podziękujcie, więcej nic nie chcę.

Spojrzał stary na karmiącą kobietę, która skinęła głową, jakby na coś przyzwalała. Jedną ręką przytrzymała ona główkę ssącemu dziecku, a drugą gładziła łeb Kudły.

— A czy nie macie jakiego życzenia, kobicino? — zapytał staruszek.

— Moi drodzy, czy jest na świecie taki człowiek, który by czegoś nie pragnął? Każdy czegoś chce. I ja chciałabym, na przykład, żeby ta jabłonka, co stoi przed chałupą, ro-



dziła jabłka, a najlepsze i żeby mi chłopcy ze wsi nie zrywali.

— Aha, dobrze — rzekł poważnie starzec. — Stanie się, jak chcecie. A czy macie w domu płótno?

Antoniova zaśmiała się tylko w odpowiedzi. Wtedy karmiąca kobieta wyciągnęła jedną ze szmatek, w które dziecina była spowinięta i podała ją kowalowej.

— Weźcie ten płatek. Ile razy będziecie potrzebowali płótna odetniecie tyle, ile chcecie.

— No, czas nam w drogę — oświadczył starzec, wstając z ławy.

Spowinięto małeństwo, matka owinęła je w kożuch i przybyli ruszyli ku drzwiom, odprowadzeni przez Antoniową i Kudłę. Psisko łasiło się do kobiety, wspinało ku dziecku i obiegało wszystkich dokoła.

— Zostańcie z Bogiem!

— Boże prowadź!

Wyszli. Noc była gwieździsta i jasna. Zadyмка ustała, a śnieg puszysty i miękki zasłał wszystko i wszystko zrównał. Antoniova, stojąc na progu chaty, dostrzegła, jak

staruszek odwiązał od jabłoni osiołka i posadził nań matkę z dzieckiem. Wziął osiołka krótko u pyska i prowadząc go obok siebie szedł wzdłuż drogi ku lasowi. Osiołek stąpał ostrożnie po kopnym śniegu, pobrzękując dzwoneczkiem.

Wtem od błękitnego, przezroczystego nieba urwała się gwiazdka. A za nią druga, trzecia. Błysnęły, zawirowały w powietrzu i zatrzymały się nad głową kobiety jadącej na osiołku, tworząc świetlistą koronę. A nad baranią czapą przewodnika poczęło się zbierać światło odbite od śniegu i układać w koło błyszczące.

Kowalowa zrozumiała, kogo gościła u siebie. Przypomniała sobie, że dwa dni temu było święto Młodzianków i że to święty Józef i Matka Boska z Dzieciątkiem uciekają do Egiptu, uchodząc złości Herodowej.

Nie pogardzili jej dachem, ani tą lichą strawą, którą im dać mogła.

A Kudła przywarował do ziemi. Zwrócony w stronę, dokąd szli tułacze, leżał na progu chaty i bił ogonem o ziemię.

J. Grabowski

## ŚWIĘTY MIKOŁAJ

Poprzez pola,

śnieżne niwy

w tę zimową noc

dzie, idzie

Dziadus siwy,

niesie darów moc.

Tu — pod strzechą

uśmiech rzuci,

niby płomień zórz;

tam — pociechę

sercu zwróci,

co zniknęła już!

I gdzie tylko

się pojawi —

w podniesieniu rąk

znakiem krzyża

błogostawi

drobnej dziatwie w krąg!

E. Kłoniecki.



— Witek, zapal latarkę, do krów pójdziemy. W tę Noc Narodzenia i każde bydłatko rozumie człowieczą mowę i przemówić jest zdolne, że to między nimi Pan się narodził. Kto ino bezgrzeszny zagadnie — ludzkim głosem odpowiedzą. Równe są dzisiaj ludziom, więc i opłatkiem trza się z nimi podzielić.

Ruszyli wszyscy do obory, a Witek ze światłem przodem. Krowy leżały rzędem obok siebie i przeżuwały, glamiąc powoli, ale na światło i głosy jęły postękiwać, zbierać się ciężko do powstawania, a odwracać ciężkie, ogromne łby.

— Tyś gospodynią, Jaguś, to prawo twoje



rozdzielić między wszystkie. Darzyć ci się będą lepiej i nie chorować.

Jagna połamała opłatek na pięć części i, przychyłając się nad każdą krową, czyniła krzyż święty między rogami, a wtykała po kawałku w gębule, na szerokie ostre ozory.

— A koniom to nie dacie? — zagadnęła Józka.

— Nie było ich w owym czasie przy Narodzeniu, to nie można.

Wracali do izby.

A tymczasem zaś Witek głęboko tknięty słowami, że w noc tę krowy mowę ludzką mają, wywołał po cichu Józkę i poszli do obory.

Trzymając się za ręce i dygocąc ze strachu, a żegnając się raz po raz, wsunęli się do obory pomiędzy krowy.

Przyklękli nad największą, jakby przy matce całej obory. Tchu im brakło, łyż

nabiegały do oczów, serca przenikał strach święty, jakoby w kościele podczas Podniesienia, ale dufność serdeczna i wiara w nich była, bo Witek nachylił się aż do samego ucha i szepnął drżąco:

— Siwula! Siwula!

Nie odrzekła ni tym słowem jednym, postękiwała ino, żuła, pomlaskując ozorem.

— Cosik się jej stało, że nie odpowiada, może za karę.

Przyklękli przy drugiej i znowu Witek za-  
pytał, ale już z płaczem prawie:

— Łaciata! Łaciata!

Przywarli oboje do jej pyska, słuchali z zamartym tchem, ale nic nie usłyszeli, ani słowa, nic...

— Grześniemy pewnie, to nie usłyszemy; ino bezgrzesznym odpowiadają, a my grzeszne...

Władysław Reymont

## SZOPIKA

Trzej Królowie,  
Monarchowie,  
Z wschodnich kresów niosą dary,  
Gwiazda w przedzie,  
Królów wiedzie  
Do ubogiej, do koszary<sup>1)</sup>.

Anioł leci,  
Gwiazda świeci,  
Aż do żłóbka ubogiego.  
Wół z osiołkiem  
Stoją spółkiem<sup>2)</sup>  
Z pastuszkami wedle niego.

Poklękali,  
Pokłon dali,  
Mirry<sup>3)</sup>, złota pełne czasze,  
Daj nam, Boże,  
By w pokorze  
My mu serca niesli nasze.

J. Kraszewski



<sup>1)</sup> Szopa — zagroda dla owiec w górach;

<sup>2)</sup> Spolem, razem;

<sup>3)</sup> Żywica rośliny o balsamicznym zapachu, którą po ususzeniu używa się do kadzidła.

Redaktor: dr Feliks Burdecki.

Adres Redakcji: Kraków, Poststr. 1. Redakcja „Steru”.

Adres Administracji (tu należy pisać w sprawach prenumeraty): Kraków, Uniwersitätsstr. 10 a. Administracja „Steru”, tel. 104-04.

Jeden nr „Steru” kosztuje 28 groszy. Zamawiać można tylko przez nauczyciela szkoły.

Wydawca: Hauptabteilung Wissenschaft u. Unterricht in der Regierung des Generalgouvernements. Krakau.  
Wydział Główny Wiedzy i Nauki przy Rządzie Generalnego Gubernatorstwa. Kraków.